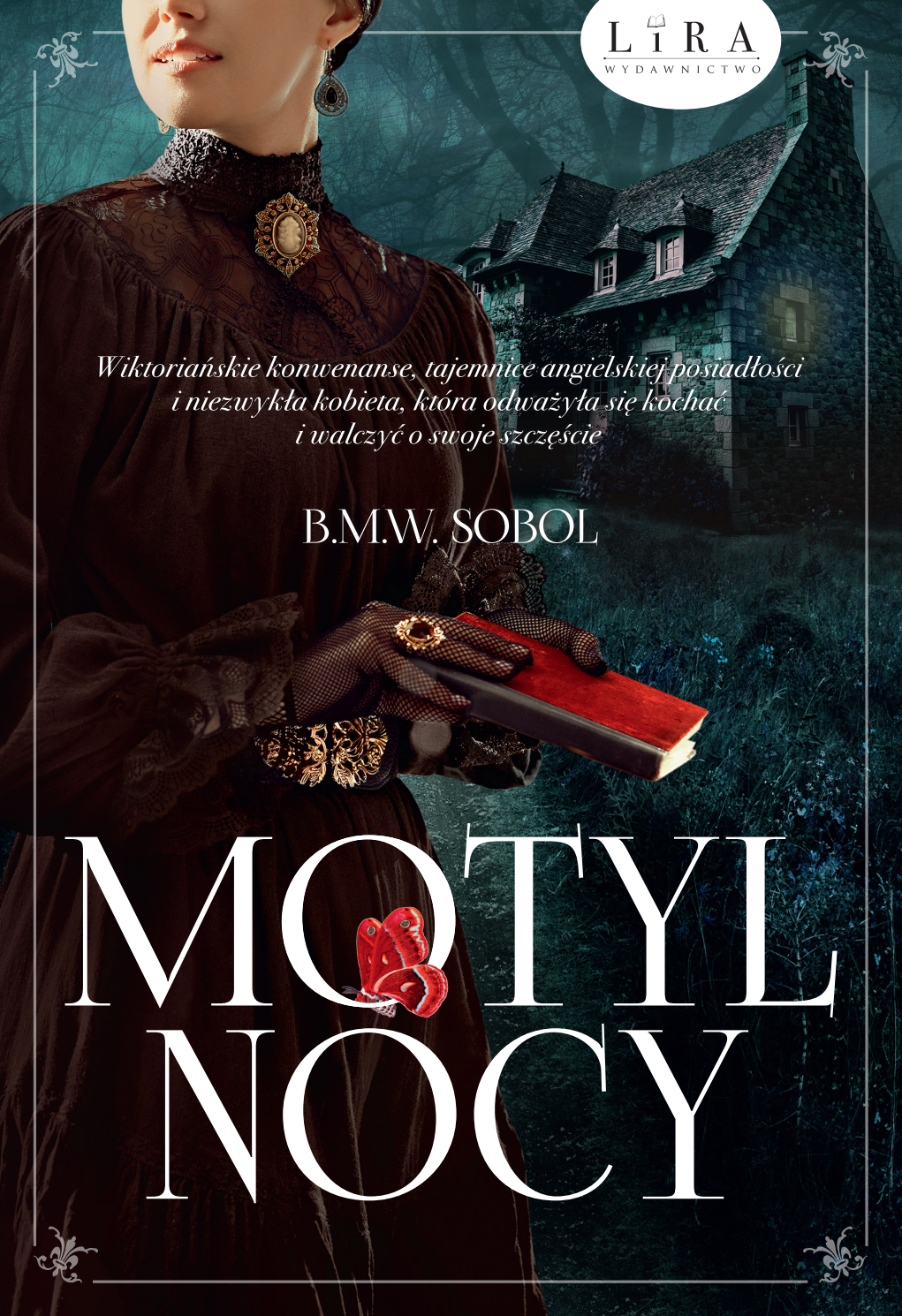
LIRA
WYDAWNICTWO
Wiktoriańskie konwenanse, tajemnice angielskiej posiadłości
i niezwykła kobieta, która odważyła się kochać
i walczyć o swoje szczęście
B.M.W. SOBOL
MOTYL
NOCY

MOTYL NOCY

B.M.W. SOBOL

MOTYL NOCY

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2023
ISBN: 978-83-67388-76-4

Tomaszowi

Dziękuję Ci za to, że zawsze jesteś przy mnie

Historia inspirowana prawdziwymi wydarzeniami

[…] na nim jednym skupiają się moje myśli w tym życiu. Gdyby wszystko inne zginęło, lecz on pozostał, ja nadal bym istniała; lecz gdyby wszystko inne trwało, a on został unicestwiony, cały wszechświat stałby mi się całkowicie obcy.

Emily Jane Brontë, *Wichrowe Wzgórza*

Motyl Nocy

Tańczę w ostatnich promieniach zachodzącego słońca. Muślinowa spódnica wiruje wokół moich nóg. Szukam otuchy, łaknę ciepła...

Jestem Motylem Nocy. Smugi światła są dla mnie niczym łaska — dzięki nim żyję, w nich się spalam.

Szaleńczo trzepoczę skrzydłami, szczelina jest jednak zbyt wąska, by się przez nią wydostać i odlecieć w stronę wiecznego, nieskończonego blasku.

Ostatni raz wiruję w tańcu słońca.

Muślinowe skrzydła łapczywie chłoną ostatnie, nikłe poblaski ognistej kuli.

Tak pięknie jest płonąć.

Iskry kończą swoją wędrówkę po nieboskłonie. Może i jutro do mnie zawitają?

Zapada zmrok…

Motyl Nocy bezszelestnie przysiada przy ścianie. Jego skrzydła nie trzepoczą…

Spoglądam prosto w oczy ciemności, a ona szepcze mi do ucha: „Nie ma światła — nie ma nadziei”.

— *Je suis le papillon de la nuit**.

* (fr.) *Jestem motylem nocy.*

Cambridge, grudzień 1898 r.

1

— Jak to dobrze, że przyszłaś. Pani Cornelia już się bała, że nikogo nie znajdzie na miejsce Frances. — Jane prowadziła Elbertę długim, wąskim korytarzem. — Jest tyle pracy, a jeszcze idą święta… Dobrze, że przyszłaś. — Uśmiechnęła się szeroko.

Kobiety weszły do parnego, obszernego pomieszczenia, które służyło za kuchnię. Wokół unosił się zapach jedzenia, aż Elbercie głośno zaburczało w żołądku. Denerwowała się rozmową z nową pracodawczynią i niczego dzisiaj jeszcze nie jadła.

— Nowa?! — krzyknęła za Jane kobieta o kształtach, których nie powstydziłby się sam Rubens; z niesłychaną wprawą i szybkością szatkowała warzywa.

— Birdie! — rzuciła dziewczyna, chwytając apetycznie wyglądające jabłko ze srebrnego półmiska.

— Hej, hej! Miarkuj się! Następnym razem porachuję ci te śliczne paluszki, Virginio Plant! Jak trafisz na panią Edwards albo Josephine, to się doigrasz! — Kucharka pogroziła jej nożem do warzyw.

— Nie przejmuj się. Elen tak zawsze, przywykniesz. — Jane puściła do Elberty oko. — Łap i jedz. Gołym okiem widać, że się zaraz przewrócisz. — Rzuciła w stronę dziewczyny owoc, który przed chwilą zwędziła z półmiska. — Siadaj i opowiadaj. Skąd jesteś i gdzie wcześniej pracowałaś? Masz narzeczonego?

Dziewczyny usiadły przy długim stole w pomieszczeniu zaadaptowanym na jadalnię dla służby. Przejrzyste, czyste i dobrze oświetlone, sprawiało zupełnie inne wrażenie niż niewielka kuchnia na plebanii.

— Nie ma o czym opowiadać… — rzuciła Elberta zdawkowo i chciwie zatopiła zęby w słodkim miąższu. Niemal od razu poczuła się lepiej.

— Nie bądź taka, Birdie. — Jane szturchnęła ją w bok, z niezadowoleniem marszcząc brwi. — Chyba mogę tak do ciebie mówić?

Elberta kiwnęła głową. Nigdy nie przepadała za swoim imieniem i nie chciała wiedzieć, co takiego podkusiło jej rodziców, by właśnie takie jej nadać. Z zaciekawieniem rozejrzała się dookoła. Przy ścianach, ciasno obok siebie, stały przeszklone kredensy, a w nich najpiękniejsze zastawy — srebra i kryształy — jakie kiedykolwiek widziała. Państwo Edwardsowie musieli być naprawdę bardzo majętni — chyba w końcu jej się poszczęściło.

— No powiedz coś, bo nie wytrzymam… — Jane wierciła się na stołku.

— Przecież jem — odparła Birdie z pełnymi ustami. — Ja też będę mieć taką spódnicę i fartuch? — zapytała, gdy skończyła przeżuwać ostatni kęs.

Czarno-biały, schludny ubiór jej nowej koleżanki był miły dla oka i stanowił ciekawą odmianę od szaroburego, nijakiego stroju — jedynego, jaki posiadała.

— Tak. Pani Cornelia przywiązuje dużą wagę do nienagannego wyglądu. Musimy mieć wszystko zawsze czyste i wyprasowane. Dostaniesz też drugi na zmianę. Myślisz, że dlaczego masz tę pracę… Bo Francis sobie wszystko lekceważyła no i… jest jeszcze coś… — Jane ściszyła głos do szeptu. — Ponoć wpadła w oko jednemu z tych, no wiesz… panów, którzy tu bywają. On poprosił ją, żeby z nim zamieszkała, i to nie jako służąca! Tylko jako pani jego domu. Dasz wiarę! — Jane egzaltowała się plotkami, nadmiernie wybałuszając przy tym okrągłe, bladobłękitne oczy.

— Wierzysz w to? — Elberta spojrzała na nią z powątpiewaniem.

— A co! — Jane wzruszyła ramionami. — Każda by tak chciała… No nie?

— No tak… — odparła Birdie lakonicznie. Wiedziała już, że na brak towarzystwa nie będzie

narzekać. Zupełnie inaczej niż na plebanii Jakoba Morrisa, gdzie wiało wieczną wilgocią, grzybem, ciszą i ciasnotą. Wzdrygnęła się na to wspomnienie.

— Jakie będę mieć obowiązki?

— Ano właśnie. — Jane wstała i kiwnęła na nią ręką. — Pokażę ci dom, no i powiem co i jak.

Birdie chwyciła mocniej swoją torbę. Miała w niej to, co najcenniejsze. To, co jej pozostało.

— Zanim pójdziemy, jeszcze jedna bardzo ważna sprawa — zaczęła Jane niezwykle poważnie. — Kiedy rozmawiasz z państwem, nigdy nie patrz im prosto w oczy, chyba że cię o to poproszą. I zostaw tu ten tobół i płaszcz, pani jeszcze gotowa się zezłościć, jeśli cię taką zobaczy. — Dziewczyna westchnęła przeciągle. Chwyciła nową koleżankę pod ramię i pociągnęła ją w stronę drzwi. — Coś czuję, że się zaprzyjaźnimy — zachichotała.

Kobiety ruszyły wolno w stronę schodków prowadzących na korytarz. Elberta zlękła się, że zamiast pracować, będzie cały czas gubić się w zakamarkach tej rezydencji.

Ivythorn House stał przy Bateman Street, blisko ogrodu botanicznego i nieopodal neogotyckiego kościoła pod wezwaniem Matki Bożej i Angielskich Męczenników, konsekrowanego niemal dziesięć lat wstecz. Od głównej drogi oddzielał go wysoki na trzy

łokcie murek, a na podjazd prowadziła kuta brama, którą za każdym razem, ilekroć wyjeżdżało się powozem, należało szeroko otwierać. Była też mniejsza, dość często używana — zwłaszcza gdy wychodziło się na spacer.

Po prawej stronie od podjazdu rósł słusznych rozmiarów platan, a do drzwi frontowych prowadziło kilka schodków. Nad dębowymi drzwiami z kołatką w kształcie lwiej głowy pięła się wisteria, teraz całkiem łysa. Jej z pozoru delikatne gałęzie sięgały aż do okna nad przeszklonym wykuszem.

Z bawialni wychodziło się na niewielki taras i do ogrodu. Tuż nad salonikiem do przyjmowania gości swój apartament miała pani Edwards.

Dom zdawał się Elbercie olbrzymi. Nigdy dotąd nie widziała ani takich przestrzeni, ani takiego przepychu, ani wzorzystych tapet — w każdym pomieszczeniu w innym kolorze i z innym motywem. Podejrzewała, że mieszkająca tu rodzina pławi się w luksusie, ale to, co dotychczas zobaczyła, przyćmiło jej wszelkie wyobrażenia o majętności nowych pracodawców. Obrazy w szerokich złotych ramach, drewniane, inkrustowane kasetony, wzorzyste tapety i egzotyczne kwiaty; Birdie przez chwilę zdało się, że przeniosła się do innego, baśniowego świata.

Podążała za Jane niczym ćma za światłem świecy. Od kuchni, przez piwnicę, łazienkę, z której korzystała służba, po poddasze, gdzie znajdował się ich wspólny pokój, oraz salon, w którym miała odbyć spotkanie z panią domu.

* * *

— Dzień dobry, pani Cornelio. — Jane dygnęła. Głowę trzymała cały czas lekko opuszczoną. — To nowa pomocnica, poleciła mi ją moja znajoma, która pracuje u…

Pani domu siedziała w głębokim fotelu. Gestem smukłej, wypielęgnowanej dłoni przywołała do siebie nową pracownicę, a Jane natychmiast zamilkła i szturchnęła Elbertę, by postąpiła o krok do przodu.

— No idź, nie wstydź się… — wyszeptała jej do ucha. Dziewczyna podeszła do zdobnego fotela, w którym siedziała pani domu. Właśnie miała się przedstawić, ale do salonu weszła kobieta ubrana podobnie do Jane. Podeszła do pani Cornelii i na małym stoliku, przy którym siedziała pani Edwards, postawiła filiżankę z parującym napojem oraz ciemną buteleczkę. Wyszła bezszelestnie — tak samo, jak się pojawiła.

— Jak ci na imię? — zapytała pani Cornelia spokojnym głosem, niezdradzającym emocji.

Jane jeszcze wymowniej wytrzeszczyła oczy, czym chciała dodać koleżance odwagi.

— Nazywam się Elberta Wiktoria Davies, proszę pani.

Kobieta poruszyła się nieznacznie w fotelu.

Birdie zauważyła, że pani tego domu ubrana jest w piękną, acz niemodną już suknię i czepiec.

— Pracowałaś już kiedyś w takiej posiadłości?

— Potrafię ciężko pracować, proszę pani — odparła entuzjastycznie. Starała się zrobić na pracodawczyni dobre wrażenie, cieszyła się z możliwości, która się właśnie przed nią otwierała. Poza tym nie robiła tego dla siebie.

— Zostałaś poinformowana o swoich obowiązkach? — Pani Cornelia podniosła do ust filiżankę i upiła z niej odrobinę ciemnego, gęstego płynu.

— Jesteśmy w trakcie…

Kobieta ponownie skinęła ręką, przerywając Jane.

— Tak, proszę pani, zostałam o wszystkim dokładnie poinformowana. — Elberta z trudem przełknęła ślinę. Nagle zaczęła żałować, że tu w ogóle przyszła. Surowość zasad panujących w domu państwa Edwardsów była przytłaczająca.

Jane uśmiechnęła się do nowej koleżanki, wdzięczna za uratowanie jej skóry. Wyszłoby na to, że marnowała jedynie czas na spacerowaniu z Birdie po domu.

— Zwykle nie przyjmuję nikogo poleconego przez służbę, ale tym razem zrobię wyjątek. Wydajesz się rozgarnięta. Zdaje się, że dobrze się prowadzisz, a dom musi być przygotowany przed świętami.

Uniosła do góry dłoń, co Jane natychmiast zinterpretowała jako sygnał do opuszczenia salonu.

Kątem oka Birdie zauważyła jeszcze, jak pani Edwards sięga po małą zieloną buteleczkę.

— Nie martw się, przywykniesz. — Jane pocieszyła koleżankę.

— Czy państwo również między sobą rozmawiają w ten sposób? — zapytała Elberta.

Dziewczyna jedynie parsknęła śmiechem.

— Nie chcę tego wiedzieć, ale nauczysz się tego ich języka. — Zachichotała, przedrzeźniając wykonywany przez panią Cornelię gest uniesienia ręki.

Elbertę rozbawiły komiczne zdolności jej koleżanki. Nie powinna żartować z kogoś, kto właśnie dał jej pracę, ale Jane była naprawdę zabawna i przekonująco udawała panią Edwards.

Może nie będzie aż tak źle… — Usiłowała dodać samej sobie otuchy.

— Czasem trzeba po prostu zacisnąć zęby i iść do przodu — odezwała się Jane dość niespodziewanie, jakby czytała jej w myślach.

Tymczasem dotarły znów do pełnej zapachów kuchni.

— A teraz, Birdie, czas nam zabierać się do pracy — ponagliła ją Jane.

— To znaczy, że mam pracę?

— Tak, i to od zaraz, kochanieńka! — rzuciła w ich stronę kucharka. — A ty, panno Plant, w końcu się doigrasz, wspomnisz moje słowa!

Dziewczyna spojrzała na Jane, która po raz kolejny przedrzeźniała panią Cornelię.

— Co mam robić? — zapytała ochoczo.

Żywiła głęboką nadzieję, że zapał do pracy nie minie jej równie szybko, jak się pojawił.

2

Miała tyle pytań, które chciała zadać Jane, jednak powstrzymała się i ograniczyła jedynie do słuchania. Przyswajała zwyczaje panujące w domu, imiona jego mieszkańców, małe dziwactwa państwa Edwardsów, na które powinna baczyć i prędko zapamiętać. Informacji było tak wiele, że z początku wszystko

jej się mieszało, a po wspólnym posiłku, na który zebrała się cała służba, miała już zupełny mętlik w głowie.

Każdy chciał być najmądrzejszy i wszyscy mieli swoje racje. Jane przekrzykiwała każdego, kto akurat zabierał głos, a Elen McCan na próżno przywoływała wszystkich do porządku. Wprawdzie plebania nie była ostoją spokoju, lecz — nie licząc rodziny wielebnego — pracowały tam tylko ona i gosposia o niezwykle milczącym usposobieniu, co oznaczało, że było po prostu ciszej.

Jej matka mawiała, że do wszystkiego można się przyzwyczaić. Do wszelkiego dobra człowiek nawyka ani się obejrzy, zaś nowym i nieodgadnionym rzeczom stawia zacięty opór. W takich chwilach jak ta Elbertę radował fakt, iż nie ma w życiu lekko; łatwiej jej było do wszystkiego przywyknąć.

Pokój, który miała dzielić z Jane, znajdował się na poddaszu prawego skrzydła, bezpośrednio nad innymi pokojami, kuchnią oraz pomieszczeniami gospodarczymi. Przestronny, choć skromnie umeblowany, w Birdie wzbudzał ambiwalentne uczucia. Obok znajdował się pokój Elen i jej pomocnicy, podkuchennej Maisie.

Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, Jane nazwała tę pierwszą starą chrapaczką. Elberta uśmiechnęła

się tylko na dźwięk tego epitetu, lecz go nie skomentowała. Milczenie wszak było i jest złotem.

Powiesiła swój znoszony płaszcz na haku przy drzwiach, po czym wyciągnęła kilka osobistych drobiazgów i umieściła je w szafie, którą miała dzielić z Jane. Jej towarzyszce niedoli niemal cały czas nie zamykała się buzia, ale Birdie odpowiadała tylko półsłówkami. Dawało to miraż płynnej rozmowy, więc Jane, nic nie robiąc sobie z jej chwilowego milczenia, kontynuowała swe opowieści.

Elberta jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Dwa łóżka zaścielone wełnianymi kocami i poduszkami, małe okno, umiejscowione zbyt wysoko, szafa, krzesło, toaleta i kominek, w którym już od dawna nie napalono — o wiele więcej, niż miała wcześniej. Wdzięczna losowi za poduszkę oraz resztę udogodnień, położyła się na łóżku i wtuliła twarz w posłanie, które było o wiele bardziej komfortowe niż poprzednie.

Nie żałowała z pozoru pochopnie powziętej decyzji. W pamięci cały czas miała rodziców i to, że nie będzie mogła ich już tak często widywać, za to będzie im się lepiej żyło. To było dla niej najważniejsze.

— Jest krzesło. Szkoda, że nie ma do niego stolika. — Słowa Birdie były szybsze od jej myśli. Dziewczyna, westchnąwszy przeciągle, usiadła na łóżku. Jane właśnie kończyła wieczorną toaletę. Była tak

zamyślona, że nawet nie spostrzegła, kiedy koleżanka przebrała się w koszule nocną.

— A na cóż ci stół, listy będziesz pisać? Przecież nie mamy na to czasu — skwitowała lekceważąco Jane, osuszając twarz ręcznikiem.

Elberta nic jej nie odpowiedziała. Sięgnęła po swoją koszulę, przysłoniła się drzwiami szafy i szybko pozbyła się sfatygowanych ubrań. Strój do spania też nie prezentował się schludnie, ale lepsze to niż nic.

— Teraz ty. — Jane wskazała jej metalową misę i dzbanek z wodą, sama zaś położyła się na swoim posłaniu.

Birdie była zmęczona, czuła na sobie całą pracę i nerwy tego dnia, zjadające ją kawałek po kawałku. Nie miała już sił ani ochoty na toaletę, ale się do niej zmusiła; wszak powinna wyglądać nienagannie.

— Birdie, widzisz te dzwonki przy drzwiach? Twój jest lewy, mój jest prawy, zapamiętaj.

Elberta spojrzała w przeciwległy kąt pokoju. Jane siedziała oparta o ścianę. Birdie zdawało się, że trzyma coś w rękach, jakąś książkę lub modlitewnik, lecz mogła się mylić. Małe okno, umieszczone niemal przy suficie, nie dawało zbyt wiele światła i zacierało kontury przedmiotów.

— Dobrze — odparła. Czuła, że pomimo zmęczenia i późnej pory i tak nie zdoła zmrużyć oka. — Ale…

jak w tych ciemnościach będziemy widzieć, który dzwonek akurat dzwoni? — drążyła temat.

— Nie martw się, to nie zdarza się zbyt często, na moje i twoje szczęście. Za to Josie… pani wzywa ją do siebie co noc. — Ostatnie zdanie wyszeptała, jak gdyby ktoś mógł ją usłyszeć.

Obie milczały dłuższą chwilę, aż zza ściany dało się słyszeć chrapanie kucharki.

Elberta zachichotała i zakryła usta kocem, by stłumić śmiech.

— A nie mówiłam! — zawtórowała jej Jane.

— Miałaś rację — wydusiła z siebie Birdie, gdy już opanowała spazmatyczny śmiech. — Co to za książka? — zapytała zaciekawiona. Liczyła na to, że państwo Edwardsowie pozwalają pracownikom korzystać ze swych zbiorów.

— A taka jedna — odparła obojętnie Jane, po czym schowała książeczkę pod poduszkę.

— O czym jest?

— O życiu — mruknęła wymijająco. — Jak myślisz, co teraz robi Frances?

— Nie znałam jej… — Elberta naciągnęła na siebie szczelniej koc. Dopiero teraz zauważyła, że jej stopy wystają poza wełniany pled.

— Śpisz teraz na jej łóżku, a ona… pewnie na pięknym szerokim łożu z baldachimem, w objęciach

ukochanego. Wyobraź to sobie, leżą wtuleni w siebie, szepczą sobie do ucha słodkie wyznania i nic nie jest w stanie rozerwać więzów ich miłości. — Jane westchnęła, rozmarzona wizją szczęśliwych kochanków.

— Taka miłość nie może się udać. Nie możesz mieć pewności, co dzieje się teraz z Frances. Może jest zwykłą pokojówką albo gosposią… — Birdie dosadnie wyraziła swoje zdanie na temat opowieści snutych przez koleżankę.

— Chyba nie życzysz jej źle, Birdie?

— Skądże… — Dziewczyna ziewnęła przeciągle.

— A ty, chcesz znaleźć sobie dobrego męża? Czy będziesz czekać, aż państwo wyrażą zgodę na ślub z kimś naszego stanu?

— Nie wiem — mruknęła Birdie z drugiego końca pokoju. — Chciałabym uczyć.

— Jak to: uczyć? — Łóżko Jane zaskrzypiało, gdy dziewczyna wsparła się na łokciu. — Tak jak guwerner Bena? Ten, co przychodzi dwa razy w tygodniu?

— Tak… — przytaknęła ledwo słyszalnie Elberta.

Co prawda myślała i marzyła o tym od dawna, lecz nigdy nie śmiała wyrazić głośno własnych pragnień. Teraz zlękła się, iż ktoś poznał jej zamysły, a te już nigdy się nie ziszczą.